

Papier i popiół



O współczesnej Polsce mówi Świątlicki, Masłowska, a nawet Ich Troje. Miciński, o czym przekonuje „Królowna Orlica”, raczej już nie

LESZEK PUŁKA

Okolenie widzów MTV „Królowny Orlicy” pewnie nie obejrzy, a co najwyżej przedzreme. Snobujący się poloniści mogą chwalić Krystynę Meissner za odkrycie sztuki w teatralnym archiwum, za niepożalowanie grosza na wysmakowaną scenografię i za powrót w wielkim stylu Macieja Tomaszewskiego w roli Twardowskiego. Za sceniczną robotę już nie bardzo. Jak na narodowe panoptikum zabrakło w niej wigoru i spoiwa.

Krystyna Meissner wyreżyserowała niedokończoną sztukę (z 1917 r.) szalonego młodopolskiego gnostyka Tadeusza Micińskiego, choć problemy „wałącego się domu”, arystokracji ducha, narodowych relikwii czy misji dziejowych rozwiązał w literaturze już Kaden-Bandrowski w „Generale Barczu”, a w przeszerzeni teatralnej Gombrowicz w „Operetce”. A że talent literacki Micińskiego jest dość wątpliwej jakości, „Królowną Orlicę” oglądałem jak „Nie-Boską komedię” graną przez artystów Zielonego Balonika. Nietypowo. Publiczność tę nietypowość polubiła. Po premierze były owacje.

Spektakl wzbudza mieszane uczucia przede wszystkim z powodu czczego gadulstwa bohaterów. Brak także inscenizacyjnej sprężyny, która nakręciłaby groteskowe, papierowe postaci, zbudziła w nich jakieś życiowe, a nie literackie problemy. Bohaterów poznajemy, gdy tkwią na kanapach i w fotelach salonu, nasłuchując odgłosów wojny światowej. Umazani węglem i kredą jak potwory z „Rodziny Addamsów”, przypominają porzucone w kącie zabawki. To ładne. Andrzej Witkowski zbudował kapitalną scenografię. Kolumny, stiuki, kamienne podłogi pałacowego salonu są zaskakująco podobne w kolorze do sinych wnętrz z płócien Malczewskiego. Wzmagają poczucie beznadziei. Wyprowadzone aż na proscenium niemal dotykają ciał widzów. A jednak z trudem da się powiedzieć, że ten świat nas obchodzi.

Właścwie w „Orlicy” są dwa światy. Pierwszy to teatr życia, bo wojna dudni salwami armat za oknami, a trwać trzeba, skoro pałac księcia Ramuła to skar-



Grupa osób zebranych w dworku na pograniczu zaborów, w tle słychać odgłosy I wojny światowej

bnica narodowych pamiątek. I drugi – jasełka, które bohaterowie odgrywają przed pruskimi oficerami, trochę z nudów, trochę dla politycznej zabawy. Niestety, oba są nie do rozróżnienia. Oba nieznacznie szeleszczą papierem.

U progu niepodległości teatr czasów przełomu pyta, kim są umorusani, więc jakby w maskach z węgla i kredy czy popiołu Polacy. Ten drugi, czym są polskie baśnie, mity narodowe pełne wielkich figur heroicznych – ksiąząt, dzieci, śpiących rycerzy. Pierwszy gada dziwnym, pokrętnym i patetycznym językiem polskiej moderny o strzelcach Piłsudskiego, o pannach ze dworu przedkładających utratę dłoni nad utratę czci niewieściej (w opowieści o próbie gwałtu), o dziejowej misji pałacu. Jakieś spektakularne – jak w „Tytusie Andronikusie” – nikiemności polityków tasują się tu z kabaretowymi melorecytacjami patriotów o olbrzymach, których – jak Mickiewicza – naród nie docenia. Zaklęcia w duchu Skargi mieszają się z diabelskim chichotem Witkacego.

Diagnozy: że nie umiemy uszanować wspólnego dobra, że brak nam politycznego zdrowego rozsądku, że geniusz ulega przed głupotą są tylko tak głębokie jak gazetowa publicystyka. Nic nadto. Od jasełkowych bajdurzeń o Kajzerze Węzów i Królownie Orlicy, pseudonimujących polsko-niemieckie stosunki polityczne, puchną zęby.

Zastanawia nieposkładanie postaci. W teatrze politycznych jasełek Andrzej Witkowski każdej z nich dodał papierowy rekwizyt, jakby założył im kostiumy bohaterów płócien Wojtkiewicza – są jak

dzieci bawiące się marionetkami. Postarzale, kalekie Wielkoludy dudnią w marszu, nasadziwszy papierowe hełmy. Patetyczny ksiądz (Krzysztof Kuliński) zakłada nos Pinokia. Domowy Nauczyciel (Wojciech Kuliński) błażeńską czapkę, Książę Ramuła (Andrzej Hrydzewicz) papierową koronę. Nawet dziwak Anarchista (Eryk Lubos) zmienia się w Diabła z papierowym ogonkiem i rogami.

Mimo błyskotliwych makijaży, kostumów, gestów ludzie ci są jednak postaciami bez psychologicznej prawdy. Jakby każdą z nich wyjęto z innego pudła z zabawkami. Mimo olśniewających pomysłów reżyserki – jak w scenie, w której Wielkoludy, proste chłopcy zarazem, ściągają zawstydzeni buciory, wszedłszy do salonu – tak różnią się konwencje interpretacyjne, że pierwotny podział na teatr realistyczny i teatr w teatrze ulega zatarciu – tu wszystko staje się tylko teatralne. Najbardziej przekonuje o tym kabaretowa bez względu na okoliczności postać Mistrza Ceremonii (Jerzy Senator). Bohater i jego kompani poruszają się jak szachowe figury. Zachwylił mnie dopiero finał, gdy Maciej Tomaszewski zaśpiewał Micińskiego jak arię operetki – po raz pierwszy teatr różni się wówczas od życia. Nagle spod warstw słów i kurzu błyska dowcip na miarę Gombrowicza. Błyska i zaraz gaśnie. Szkoda.

Tadeusz Miciński „Królowna Orlica”
– reż. Krystyna Meissner, scen. Andrzej Witkowski, muz. Jacek Ostaszewski.
Prapremiera w sobotę 25 stycznia
we Wrocławskim Teatrze Współczesnym